

W 28026 12 (28) 1976

bezdumni

SZYMON HOŁOWNIA

Zbudować dom na śmietniku

czyli rzecz o wierności powołaniu

Ojciec Edward Konkół niemal zawsze wygłasza swoje kazania w stylu podniosłym. Bliscy mu ludzie określają je żartobliwym mianem „wyciskaczy”. Ale takie właśnie, podniosłe i nadzwyczaj wyraziste było wezwanie, które usłyszał kilka lat temu. Dziwne słowa: „Chcę zmarłych wstać na śmietniku!”, jak sam mówi, długo nie dawały mu spokoju. Już wtedy pracował z ludźmi bezdomnymi z białostockich ruder i warszawskich kanałów. Trafił tam przypadkiem, jako raciborski wikary na wakacjach, który zatrzymał się w drodze przez Warszawę u sióstr Matki Teresy z Kalkuty, aby odprawić u nich mszę świętą. Poproszono, żeby poszedł do tych kanałów z kapłańską posługą.

Ojca Edwarda Konkół znalazł doskonale ze słyszenia i z widzenia już wcześniej. Jeszcze kilka lat temu nie było chyba białostoczanina, który by nieczego o nim nie słyszał. Był to czas, gdy jego osoba była w Białymstoku szalenie popularna. Stał się on bowiem faktycznie inicjatorem pierwszej w regionie grupy charytatywnej, a zarazem fundacji i domu opieki dla tych, którzy całkowicie zagubili się w życiu. „Ten ksiądz od narkomanów” był modny, bo nie bał się złamania różnych nienajmądrzejszych tabu — tam gdzie inni widzieli „nosiciela wirusa HIV”, stwarzającego zagrożenie dla zdrowego społeczeństwa, on dostrzegał chorego człowieka. Nie bał się zacząć jak twierdzi ci, którzy go znają, zawsze pierwszy wyciągał rękę do potrzebujących pomocy, do tych, którzy przychodzili do niego, często sami nie wiedząc do końca, po co.

Bez wątpienia Edward Konkół jest jedną z tych osób, wobec których nie można przejść obojętnie — to, co robią, jak żyją, wymaga od obserwatora zajęcia konkretnego stanowiska. I jak to zwykle bywa w takich wypadkach bardzo szybko dla pewnej grupy ludzi „ten ksiądz od narkomanów” stał się guru. Był jednym z najbardziej obleganych spowiedników. Czasami można go było spotkać w szkołach, prowadzącego jakiegoś pogadanki, nieodmiennie gromadzące tłumy słuchaczy. Poprowadzenie przez niego rekolekcji gwarantowało niemal stu procentową frekwencję uczestni-

ZBUDOWAĆ DOM NA ŚMIETNIKU

67

ków. Całonocne czuwania modlitewne organizowane przez niego kilka lat temu zawsze były wydarzeniem, a jak się wydaje, uczestniczyli w nich, pomimo ich katolickiej oprawy, zarówno agnostycy, jak i protestanci.

Z czasem wokół ojca Edwarda skupiła się spora grupa osób zainteresowanych konkretną pracą z ludźmi potrzebującymi pomocy. Zaczęło się to siedem lat temu od pracy z narkomanami, a nie należy zapominać, że określenie „narkoman” nie było tylko mianem otaczanego dziś powszechną pogardą żebrzącego „ćpuna”, ale było wręcz znakiem przerażającego zjawiska — zjawiska nowego — był to nieomalże synonim wyłaniającej się widocznej ludzkiej nędzy, wcześniej tak skrupulatnie ukrywanej i brutalnie eliminowanej z wizerunku społecznego życia.

Dzisiaj tych ludzi jest już prawie dwustu, a jest jeszcze cała masa tych, którzy przyznają się do znajomości z Edwardem, którzy coś mu zawdzięczają, którzy przychodzą po pomoc, po dobre słowo, po odrobinę uwagi.

Gdy próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, co tych wszystkich ludzi tak przyciąga, przypomniałem sobie pewne wydarzenie sprzed niemal roku. Otóż nie jest tajemnicą, że Ojciec Edward ma poważne problemy ze zdrowiem. Los chciał, że paręnaście miesięcy temu leżałem z nim w tej samej klinice. Edward rokrocznie spędza w tej zimnej i przygnębiającej atmosferze szpitala dużo czasu. Z całym personelem medycznym jest „na ty”, na odprowadzanie przez niego codziennie w szpitalnej kaplicy msze solidarnie maszerowali prawie wszyscy pacjenci, i nie zdarzyło się, aby minął na korytarzu kogoś z chorych bez właściwego sobie uśmiechu, z towarzyszącym tubalnym pozdrowieniem. Podczas którejś z kolei rozmowy „współcierpiących” zaprosił mnie na Wigilię do Naszego Domu, miejsca, gdzie on i pomagający mu wolontariusze już od kilku lat otaczają opieką dzieci z rodzin niewydołanych wychowawczo.

Gdy trafiłem do „Naszego Domu” 24 grudnia około godziny 21.00 była tam już grupka dzieci, które nie mogły tego świętego czasu spędzić w domu rodzinnym. Czekaliśmy na następną, które powoli napływały, przynosząc obrazki Wigilii, której większość z nas, dzięki Bogu, nie zna. Zastanowiła mnie powaga i odpowiedzialność, z jaką pełniły one obowiązki gospodarzy, i szacunek, jakim darzyły ojca Edwarda. W te cały czas przewijała się olbrzymia sylwetka Edwarda, który wydawał polecenia, prosił, pomagał. Miał bardzo wysoką gorączkę, był bardzo przeciębiony. Mówił, aby położył się do łóżka, zbywał uśmiechem i machnięciem ręki — o północy miał, jak co roku, odprawić w pobliskiej szopie pasterkę z „figurami”, na którą wszyscy czekali. Usiedliśmy przy kominku i pijąc kawę, przegrzając przyniesione przez Świętego Mikołaja zapasy słodyczy, roz-

68

SZYMON HOŁOWNIA

mawialiśmy. Po chwili spostrzegliśmy, że Edward w międzyczasie usnął. Jakaś mała dziewczynka wdrapała mu się na kolana i też spała w najlepsze. Którś z dzieciaków odkryło go pledem, a później wycofaliśmy się po cichu, zdając sobie sprawę, że być może jest to jego jedyna chwila odpoczynku. Za kilka godzin mieli odprawić pamiątkę zamieszkania Boga między ludźmi. Przewodniczyć miał właśnie on.

Są przecież w końcu i tacy, dla których osoba ojca Edwarda to uspokojenie wyrzutów sumienia, bo przecież jest ktoś, kto się tą całą dobroczynnością zajmuje, i to jest chyba też wyjaśnienie tajemnicy jego niegłyszycielskiej popularności. W dobie, gdy różnorakie zespoły pomocy, fundacje dobroczynne itp. powstają jak grzyby po deszczu, przeciętnemu białostoczaninowi pytanie o ojca Konkół sprawiło znacznie więcej kłopotów. Od czasu do czasu lokalne media podają apele prowadzonego przez niego Stowarzyszenia „Droga”, a raz do roku, z okazji akcji „Pogotowie Świętego Mikołaja”, w gazecie ukazują się jego zdjęcia pomagającego w rozdzielaniu darów i przygotowywaniu paczek dla dzieci, o których wcielający się w rzeczoności świętego zapomnieli. Słyszysz się o nim z okazji dorocznych obchodów Dnia Dziecka organizowanych przez jego Stowarzyszenie. Sam ojciec Edward przyznaje, iż to może lepiej, że ten początkowy szum ucichł. Nie wydaje się zresztą, by on go kiedykolwiek słuchał. Wciąż był zajęty. Próbował zbudować Dom.

Fundamenty

Pytam Grażynę, wolontariuszkę pracującą z Ojcem Edwardem od samego początku, co tych wszystkich ludzi związanych z „Drogą”, a w końcu samego ojca Edwarda pcha do tej działalności: „To jest pytanie o to, czy my to robimy z miłości, czy z obowiązku. Wiesz, to jest chyba po prostu wierność powołaniu” — widzę, że sama jest zaskoczona swoją odpowiedzią.

Gdy kilka lat temu miałem okazję studiować we Włoszech, opowiedziałem o ojcu Edwardzie dwóm polskim werbistom, którzy przyjechali z dalekich zakątków świata, aby jeszcze lepiej przygotować się do pracy na misjach. Rozgorzała kłótnia. Jeden z nich twierdził, że to, co robi ojciec Edward, jest absolutnie niezgodne z misyjnym powołaniem werbisty, drugi ripostował, że Polska powoli staje się terenem wymagającym misji. Edward Konkół jest werbistą i, jak sam mówi, w charyzmacie jego zgromadzenia jest to, aby iść z Dobrą Nowiną tam, gdzie nikogo jeszcze nie było. Pole do popisu miał więc ogromne i praktycznie niezbyt ograniczone. Ale, jak przyznaje, to, co najważniejsze — ten impuls, od którego wszystko się zaczęło,

ZBUDOWAĆ DOM NA ŚMIETNIKU

69

przyszło spoza niego. Raciborski wikary mieszkał przez całe swoje wakacje w warszawskich kanałach. „Odczułem po prostu potrzebę pozostania razem z nimi, nie wiedząc, co robić, bez żadnej koncepcji, planów — po prostu byłem razem z nimi”. Myśl o pomocy tym ludziom z kanałów nie daje mu spokoju — zaczyna studiować resocjalizację, przenosi się do Białegostoku, aby się do tej pracy przygotować. W Białymstoku odnajduje tych samych ludzi, żyjących tu w opuszczonych domach. „Ci ludzie nie mieli domu! Moja pierwsza pomoc, nosiła znamiona absurdu, była bez nadziei rzeczywistej pomocy — po prostu jeździłem z wiadrem i szmatą, i sprzątałem im te meliny, później siedziałem i rozmawiałem z nimi. Dzisiaj można by mnie oskarżyć, że działałem na szkodę tych ludzi, pomagając im tkwić dalej w tym wszystkim, współdziałałem z nim. Ale to wszystko też miało jakiś sens”. Ponad szmatami i brudem rodziło się wzajemne zaufanie i swoista więź — odrobina innego świata. Aż nadszedł ten Wielki Tydzień. „Wiesz, to był naprawdę Wielki tydzień”; i ta myśl: „Chcę zmarłych wstać na śmietniku!”

Wszyscy chyba pamiętamy tych wychudłych, sinych, niegdyś młodych ludzi kłębujących się zawsze w tych samych miejscach. Nie zapomnę widoku narkomana bitego przez odzianego w złote łańcuchy „diler’a” i momentu, kiedy po raz pierwszy miałem podać rękę człowiekowi, o którym wiedziałem, że jest nosicielem HIV; byłem już pewien, że łatwo się tylko o tym mówi. Ci ludzie nosili w sobie śmierć, a człowiek ma zakodowany lek przed śmiercią.

Od tej pory Edward spędzał większość swojego czasu „na melinach”, gdzie trwała produkcja kompotu, w knajpach, gdzie można było spotkać narkomanów, a czasem po prostu na ulicy. „Wychodziłem wieczorem, a wracałem zawsze przed szóstą rano, bo wiesz, o szóstej u nas w domu są modlitwy”. Grażyna: „Myśmy chcieli być z Edwardem, ze sobą, ale chcieliśmy, żeby było to bycie przed Panem Bogiem”. „Nie wiem, co bym zrobił bez pomocy tych ludzi, mojego prowincjała, przyjaciel — oni wszyscy byli dla mnie ogromnym wsparciem”. Modlitwa była potrzebna. W tej pracy co chwila następował...

Moment krytyczny

Białystok jest niewielką społecznością. Nie sposób nie zapytać, co mówili „życiwi” ludzie o księdzu, którego można było spotkać siedzącego w jakimś parku i otoczonego przez narkomanów. „Wiesz, czasem ktoś przychodził do mnie i mówił: «Słuchaj, ludzie mówią...», a ja mu wtedy

odpowiedziałem: «Nie mów nic więcej!» Bałem się, że te słowa zakielkują gdzieś w mojej duszy, że zrodzi się we mnie jakiś chory lęk, a przecież tyle było do zrobienia...

Co było dalej? „Trzeba było z tymi epunami coś zrobić. Zaczęliśmy szukać po Bożej ziemi, gdzie by ich można odtruć, bo szpital ich nie chciał, a do ośrodka nie mogli trafić bez odtrucia. Znaleźliśmy chatę w Puszczy Knyszyńskiej, gdzie jednocześnie odtruwać się mogło dwunastu narkomanów. Cały personel — od sanitariuszy do lekarzy — stanowili wolontariusze. I przez osiem miesięcy przewinęła się ich spora grupa, aż do dnia, w którym przyjechali nas podpalić”.

Doktor Anna jest lekarzem w szpitalu, w którym tak często gości ojciec Edward. Pracuje z nim od niedawna, jeździ na obozy, pomaga dzięki swoim medycznym umiejętnościom: „Gdy słyszałam o takich rzeczach, oburzałam się na nictolerancję panującą w naszym kraju, na głupotę. Teraz wiem, że trzeba naprawdę wielkiej tolerancji, aby tę głupotę bez mrugnienia oka znosić”.

„To były czasy antyHIVowskiej psychozy, podgrzewanej przez dramatyczne telewizyjne wystąpienia Kotańskiego, a ktoś tam w Supraślu przy piwku dowiedział się, że obok w lesie mieszkają HIV-owcy, to wzięli benzynę i przyjechali nas podpalić. W domu panowała niesamowicie pokojowa atmosfera; ludzie nie zarzili się tą ich agresją — «chcą nas podpalić — niech podpalą — ale najpierw wypijemy herbatę...» Wypiliśmy tę herbatę, oni pojechali po pół litra, a my w tym czasie ewakuowaliśmy ośrodek”. Ojciec Edward ze swoimi na pół odtrutymi podopiecznymi pojechał do dyrektora szpitala i zaproponował, że on tych narkomanów wypuści tam, skąd przyszli. Dyrektor zgodził się na utworzenie oddziału, pod warunkiem znalezienia personelu medycznego chętnego do pracy. Edward wystawił swoich ludzi, i tak powstał działający do dzisiaj Oddział Detoksykacji, a ludzie związani z Edwardem dalej pomagają uzależnionym od narkotyków. Dziś myślą o skupieniu się na problemie narkomanii wśród dzieci, myślą, jak pomóc tzw. wączaczom...

Czy to ma sens? „To jest rzeczywiście beznadziejna robota. Odtruwasz narkomana, znajdujesz ośrodek, pracę, a za pół roku on staje u twoich drzwi naćpany, potrzebujący pomocy”.

Jednak nie tylko praca z narkomanami pozwalała doświadczyć beznadziei. Doktor Anka opowiada: „Podczas któregoś z nocnych dyżurów przyszedł do mnie Edward, bardzo zdenerwowany, wręcz załamany, co praktycznie nigdy mu się nie zdarza. Przed chwilą jego ludzie przynieśli mu wiadomość, że ksiądz proboszcz nie dopuścił do pierwszej komunii grupy

dzieci, ponieważ nie miały identycznych książeczek do nabożeństwa. W przygotowanie tych dzieciaków włożono masę zachodu, pracy. Siedział przy telefonie niemal do rana, a następnego dnia dzieci miały identyczne książeczki, prosto z drukarni werbistów w Pieniężnie”.

„Był taki czas, że co dwa tygodnie ktoś z narkomanów umierał. Wpuszczając kolejnego z nich do piasku zastanawiałem się, na ile sam przyczyniłem się do tej śmierci, poprzez bycie z nimi tam, gdzie byli. Od tego pytania się nie ucieknę — czy to ma sens? Chyba po prostu tak się robi, nie wybiera się jakiejś długofalowej opcji, ale te posunięcia, które w danej chwili służą człowiekowi. Chyba nie ma innej drogi... Iść z nimi, a nie prowadzić”.

Grażyna jest wolontariuszką od siedmiu lat: „Ludziom, którzy mają wątpliwości, mówię: zawsze róbcmy to, co możemy zrobić, bo warto, na prawdę warto”.

Budowa

Grażyna jest osobą niepełnosprawną, porusza się o kulach. Siedem lat temu ktoś zawiązał ją na czuwanie zorganizowane przez Ojca Edwarda w domu werbistów w białostockiej dzielnicy Kleosin. „Człowiek ma w sobie jakiś lęk przed osobą duchowną, a tu nagle podbiega do mnie człowiek, o którym wiem, że jest zakonikiem, i mówi: Cześć, jestem Edward! Taki «ksiądz, który zstąpił do ludzi...» Stopniowo na te czuwania zaczęło przychodzić coraz więcej ludzi. My, którzy zaczęliśmy, odczuwaliśmy coraz większą potrzebę bycia ze sobą, ale bycia w Bogu. Chodziliśmy na wspólne wędrowki, dyskusje ciągnęły się długo w noc. Edward tymczasem wciąż chodził «na meliny»”.

W tym czasie w Kleosinie nadal odbywają się czuwania. Przychodzi coraz więcej młodych ludzi, którzy usłyszeli o „tym księdzu od narkomanów”, słyszeli jego antynarkotykowe prelekcje, świadectwa osób pracujących razem z nim (które wraz z narkomanami utworzyły grupę nazwaną bardzo wymownie — „Chwasty”). Edward daje im receptę: pomóc, to nie tylko dawać bezpośrednio — pomóc, to także modlić się. Chętne osoby modlą się za danego narkomana i przez pół roku przyjmują za niego komunie świętą. „Nigdy wyniki naszej pracy nie były tak widoczne, jak własnie wtedy, kiedy ludzie modlili się, a myśmy kompletnie nie wiedzieli, jak się zabrać do pracy; to była taka radosna twórczość — to nam uzmysłowiło, jak ważną rzeczą jest to, aby się modlić. Tak powstało faktyczne modlitewne zaplecze. Młodzi ludzie uczyli się budować w sercu dom dla swoich braci — narkomanów, brudnych, obdartych, na skraju śmierci.

Ja się bardzo bałem o te dzieci: Różni ludzie mówili mi: «Człowieku, ty ich pchasz w uzależnienie». Niektórzy z nich mieli jechać na hippisowskie spotkania organizowane przez księdza Szpaka. Zrobił więc spotkanie z rodzicami pracujących z nim wolontariuszy. Opowiadał o swojej pracy w kanałach, na melinach. Grażyna: „Od tej pory ojciec Edward rzadko kiedy może wydstać się z mojego domu bez poczęstunku”.

„Coraz częściej dostrzegałem, że ci, którzy przychodzą na czuwania, przychodzą ze swoimi nieraz straszniejszymi problemami. Pomagając innym, chcieli uciec od tego, że to im potrzebna jest pomoc”. Wytworzyła się grupa, w której ci ludzie uczyli się żyć często na nowo. Tak powstała wspólnota.

Ludzie ci przynosili ze sobą echa nowych problemów, nowych wyzwań. Oni otworzyli się na te problemy. Tak powstał

Dom

„Nasz Dom” nie jest domem dziecka. Co się od razu rzuci w oczy to fakt, że jest to dom zarówno dzieci, jak i opiekunów — naprawdę wspólny dom. Gdy próbując kogoś tam znaleźć, są wakacje — dzieci są z ojcem Edwardem w Jastarni, z której pochodzi, gdzie co roku spędzają czas w przekazywanym przez władze miasta Jastarni ośrodku, który podobno nosi już nieformalną nazwę „Ośrodek Ojca Edwarda”. W tej chwili w „Naszym Domu” trwa remont, opiekunowie zbierają się wraz z dziećmi i razem pracują nad doprowadzeniem go do porządku. Dwa lata temu Ojciec Konkol dostał od miasta Białegostoku budynek byłego żłobka i wraz ze swoimi wolontariuszami urządził tam niezwykle miejsce. Miejsce, które próbuje być namiastką domu dla tych, którzy nie wiedzą, co to słowo oznacza.

Zaczęło się od spraw najprostszych: dzieciak, który w domu miał „plekło”, mógł do „Naszego Domu” przyjść i coś przegrześć, z pomocą opiekunów odrobić lekcje. Któryś z opiekunów mieszkał w tym „Naszym Domu”, bo często było tak, że przychodzące dziecko nie miało gdzie spać. Z pomocą taksówkarzy ludzie z „Naszego Domu” wynajdywali te dzieci gdzieś pod mostami, na ulicach. Grażyna: „Przy takich prostych ludzkich sprawach — my uczyliśmy te dzieci, że mogą być kochane. Ty wiesz, jaka to satysfakcja nauczyć dziecko reagowania na własne imię, podczas gdy dotąd wzywane było stekiem wyzwick. Staraliśmy się dać im początek — uświadomić, że jeszcze całe życie przed nimi, że nie muszą być alkoholikami jak ich rodzice, że mają prawo wyboru i że mogą zacząć od nowa”.

„Stawiamy sobie za cel wskazanie możliwych wyjść z danej sytuacji

— znalezienie rozwiązania konkretnego problemu”. Nie czują się odpowiedzialni za wszystko, chcą być pomocą w znalezieniu pomocy. Doktor Anka: „Początkowo huntuwałam się przeciwko temu — przecież te dzieci z ciepłego «Naszego Domu» wracały do swojego piekła. Później spostrzegłam, że to ma sens. Dzieci nosiły w sercach ziarno tego ciepła. Może ono kiedyś zakielkuje...”

Ojciec Edward myślał o tym samym: „My pochyłamy się nad tym dzieciakiem, a on idzie do domu, do kolegów i znów ma to samo. Zainteresowaliśmy się więc ich rodzicami. Praca w tych makabrycznie niewydolnych wychowawczo, często alkoholickich domach jest nieodłącznym elementem działań ludzi z „Naszego Domu”.

„Nasz Dom” to 70 domowników i około 100 dzieci związanych z nim okresowo. Pytam o jakieś widoczne efekty tej pracy — pytanie nienajbardziej, ale Edward po chwili namysłu odpowiada: „Wiesz, chyba to, że po raz pierwszy od kilku lat wszystkie dzieci z naszego domu zdążyły do następnej klasy, no i że mamy już sześć rodzin, które dzięki naszemu domowi stały się normalnymi rodzinami”. Opowiada mi o rodzinie, która wydestała się z alkoholizmu, przyczyniła się jak z rękawa do szczęścia, a teraz rodzice szczęciorga dzieci, którymi opiekowali się w „Naszym Domu”, sami są wolontariuszami. Ostatnio kupili nawet używanego „anulcha”...

Praca z dziećmi trwa już kilka lat. W międzyczasie grupa ludzi współpracujących z Edkiem Konkolem zyskała osobowość prawną, jako Stowarzyszenie „Droga” („Na miły Bóg, czuliśmy się wtedy, jakbyśmy zabijali to, co robimy. Mówię ludziami: Mamy Stowarzyszenie! A oni powieszali nosy na kwintę”). Takie chwile są okazją do podsumowań: chyba nie tylko narkomani i dzieci uczyli się przez te wszystkie lata budować dom. Wśród ludzi z „Drogi” są psycholodzy, mechanicy samochodowi, ludzie wyklęci przez kogoś. Przyszli z różnych stron, mają różną przeszłość, ale przyciąga ich wierność temu samemu powołaniu. Przez te wszystkie lata wytworzyły się wzajemne sympatie, są już nawet małżeństwa. To przerosło się dalej: co jakiś czas zapraszają wszystkich, aby wpadli do „Naszego Domu” na herbatę, posiedzieli przy kominku, posłuchali muzyki.

Aby poczuli się dobrze.

Zamiast moralu

Doktor Ania: „Gdy przyglądałam się Edwardowi i młodzieży, z którą pracuję, podczas jego pierwszych pobytów w klinice, pomyślałam, że bar-

dzo chciałabym pracować razem z nimi. Edward odradził mi to, mówiąc, że każdy ma swoje miejsce, swoje powołanie. Moim miała być dopiero co założona rodzina, rozpoczęta właśnie praca nauczyciela akademickiego. Teraz pracuję z nim na miarę swoich możliwości. Widzę, że to, co wtedy powiedział, było prawdą. Każdy ma swoje miejsce, swój czas... Ale nie możemy się wzbraniać przed przelaniem własnego lemistwa, bo tym właśnie jest nieprzebijanie się przez barierę tego, co dotyczy tylko mnie. Czasem wystarczy dziesięć minut, które dam drugiemu człowiekowi..."

Gdy zapytałem Edwarda, czy jest coś, co chciałby powiedzieć wszystkim bez wyjątku ludziom na tym świecie, rodzaj uniwersalnego przesłania dla „dobrych i „złych”, odpowiada po krótkim namyśle: „Aby się zatrzymali, aby umieli przysiąść przy tym, przez co przechodzą. Bo jak jesić w pięknych górach, ale jedziesz przez nie szybkim samochodem — to czego nie doświadczysz. Jeśli masz za oknem piękną łąkę, a idziesz przez nią do pracy, z głową pełną pięknych ludzi i spraw, które masz do załatwienia za tą łąką — to jej nigdy nie doświadczysz. I wiesz, ludzie nie wiedzą, jak pięknie kwiaty kwitną na śmietniku. Boją się, że się pobrudzą...”

Typowy „wyciskacz”, ale słuchałem go z zapartym tchem.

„Nasz Dom” rozkwita. Powstaje w nim stołówka, wokół tej wspianialcej sprawy gromadzi się coraz więcej osób. Stowarzyszenie myśli o zakupie łańcuchówki ocalałej kilka lat temu od zagłady...

Szymon Hołownia

Jeżeli ktoś z czytelników „W drodze” chciałby nawiązać kontakt ze Stowarzyszeniem prowadzonym przez o. Edwarda Konkola, podzielić się uwagami, skorzystań z doświadczeń, być może pomóc, ludzi z „Drogi” znaleźć może pod adresem: Stowarzyszenie „Droga”, ul. Zambrowska 24, Białystok-Kłocisin, tel. 0-85 63-16-02.